Tom VIII.

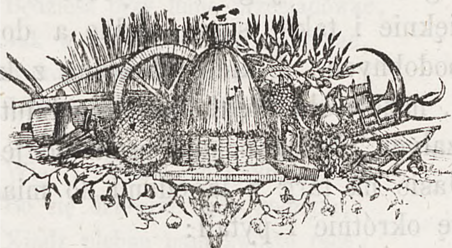
1. Marca



Nr. 7.

1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zlr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Legenda o jagodach.

W biednej chałupie leży chora, nieszczęśliwa matka. Dwoje małych dzieci płacze w kąciku i wołają chleba, a trzeci starszy chłopczyna pociesza je i uspokaja. Ucichły dziatki na chwilkę, zasnęła chora. Starszy chłopczyna ukląkł przy jej łóżku i modlił się gorąco: „Panie Boże łaskawy daj chleba dla mego braciszka i siostrzyczki, daj lekarstwa dla chorej matki. Panie Boże łaskawy pozwól mnie małemu i słabemu zarobić uczciwie na chleb i na lekarstwo, aby dziatki i matka nie pomarły z głodu i choroby. Panie Boże łaskawy zmiłuj się nad niemi i nademną!“

Tak się modlił sześcioletni chłopczyna Jasio, i Pan Bóg wysłuchał modlitwy poczciwego dziecka. I zesłał Pan Bóg aniołka, który szepnął Jasiowi, aby poszedł zbierać jagody w dąbrowie. Jasio przeżegnał się, wziął króbeczkę i poszedł w dąbrowę.

Zaś była na świecie jeszcze bardzo wczesna wiosna, i kwiatki jeszcze dobrze nie rozkwitły i drzewa jeszcze nie wszystkie

zazieleniały, a po wzgórkach leżały jeszcze płaty śniegu. I nikt jeszcze nie widział jagód, bo nie pozakwitały nawet dobrze.

Ale Pan Bóg rozkazał jagodom wyróść w dąbrowie, i wyrosły gęsto i pięknie i takie same cudne a dojrzałe, że poszukać daleko podobnych. I kiedy dziecina z krobeczką przyszła w dąbrowę, nazbierała rychło jagód pełniuteńko, a takich pięknych i dojrzałych, że aż ochota brała do jedzenia.

I poszedł Jasio na targ z jagodami do miasta, a wszyscy ludzie dziwili się okrótnie i pytali:

— A gdzieś to uzbierała dziecino takich ślicznych jagód?

— W dąbrowie — mówił Jasio — a kupcie państwo, bo to na chleb dla mego braciszka i siostrzyczki, i na lekarstwo dla chorej matki.

I kupowali państwo jagody u Jasia, i dali mu dużo pieniędzy, że wystarczyło na chleb i na lekarstwo.

Od tego dnia chodził Jasio codzień rano w dąbrowę na jagody i codzień zbierał pełną krobeczkę i sprzedawał na targu, a za pieniądze kupował chleb i lekarstwa. Niebawem Bóg miłosierny powrócił zdrowie matce Janowej, i była wielka radość w biednej chatce, i szczęście znowu było.

Takto Pan Bóg na prośbę biednej dzieciny uczynił cud z jagodami.

Spiewka kosyniera.

Do rąk wziąłem ci ja kosę,
A czapkę na bakier noszę,
Z galoneczkiem ci srebrzystym,
Z pawim piórkiem pozłocistym.

Hejże! jak mnie pocałujesz,
Mojaśty — nie pożałujesz!
Za buziaka, za każdego
Skoszę Moskala jednego! —

A jak z wojaczki powrócę,
„Górą nasi“ — ci zanucę,

Choć z kulą, o jednem oku,
Ty będziesz przy moim boku.

Będziesz przy mnie przesiadować,
Jak w karczmie będą tańcować,
A kosynier się pochwali
Jak gracko kosił Moskali!

Więc i skłonię się twym rodnym,
Bo cię dziewczę będę godnym,
Xiądz pleban nam zwiąże ręce,
Hej — jak wrócę po wojence.

A jak Bóg nam da chłopaka —
Wymusztruję go w wojaka!
Aby umiał chaty bronić,
I dziewczyny serce skłonić!

A teraz mi bywaj zdrowe
Moje dziewczę malinowe!
Wrócę hej aż po wojence,
Czekaj mnie przy bożej męce!

I pogonił za druhami
Chyłkiem ścieszką i lasami;
Rozpłakała się dziewczyna
W sercu Moskali przeklina!

A. S.

Chciwość ukarana
czyli
jak Błażek Muszka sprzedał Ickowi Bimbum swego konia.

Jużto Bogiem a prawdą trzaby niejedną parę butów schodzić, aby znaleźć takiego drugiego jurnego zucha i figlarza, jak jedynak starej wdowy Barbary, co to to się zwał Błażek Muszka. Hej, hej mocny Boże, co to ci był za fryc wierutny ten Błażek Muszka! Z gruntu był to chłopak tak

poczciwy, że go jeno do rany przyłożyć a tak pracowity, że niech się schowają wszyscy parobcy na dziesięć mil w około — ale jak trzeba było jakiego uczciwego figla wypłatać, albo jakiemu hardemu człowiekowi, co to się dmie jak pchła na mrozie, porządnie nosa utrzeć, to już nie było nikogo nad Błażka Muszkę.

Bywałoć cała gromada aż pęka od śmiechu, jak Błażek jaką śmieszną gadkę opowie, albo jak komu psikusa wypłata, co się zowie! Boć to był już taki chłopak z natury, żwawy, zwinny i dowcipny jak mało. Niechno tylko kto zadarł nos i czuprynę do góry, lub wyśmiewał się i kpił z drugich, albo też czychał na krzywdę bliźniego, to Błażek zaraz się znalazł, jakby wyrósł z ziemi, i tak ci mu przyciął siarczyście, że choćby miał i cztery języki jak łopaty a lizał się niemi przez rok cały, to się nie wylizał z tego figla, którym mu Błażek dojechał!

Jak się tylko jaki niepoczciwy drągal we wsi pokazał, co to ani do Boga ani do ludzi, ani do tańca ani do różańca i ani go przyszyć ani przyłatać — toć zaraz gromada mówiła do Błażka:

— Ano Błażku przystaw mu stołka!...

A Błażek na to jak na lato, i zaraz mu taką łatkę przypiął, jak było potrzeba.

Toć jak Antek Bulba powrócił z wojska i ubrał się jakoś po cudacku, jakby Prusak jaki albo urwipołeć ze świata w pludry i jakieści tam gałgany inne, a nie mówił po polsku jak katolik, tylko jakoś szwargotał niby żyd a niby Moskal, Błażek Muszka tak ci mu przygadywał, tak przycinał, że wszystkie baby i dzieci ze wsi za boki się trzymały przez tydzień cały, a Antek Bulba miesiąc bez mała nie wyściubił od wielkiego wstydu nosa z chaty!

Dużoćby to było mówić o tych uciesznych sprawach Błażka i na wołowej skórze ponoby ich nie spisał — ale cóż kiedy panowie pisarze Dzwonka strasznie się sierdzą, jak kto gada i papla bez końca, jak stara baba przy kądzieli. Więc też i ja nie będę wam opowiadał wszystkich figlów Błażka Muszki,

tylkoć wam opiszę, co on raz zrobił arendarzowi z zalipieckiej karczmy, *Ickowi Bimbum*.

Pojechałci raz Błażek Muszka do miasta na jarmarek, by tam trochę sprzedać, a trochę dokupić. Bo trzeba wiedzieć, że Błażek, choć był chłopak jeszcze młody, to był sobie gospodarzem jak niejeden, co mu głowa posiwiała. Błażka matka stara Barbara siedziała na gruncie, co jej nieboszczyk mąż zostawił, a że biedna staruszka już górą lat siedmdziesiąt dźwigała na barkach, więc Błażek Muszka całem rządził gospodarstwem.

Otóż Błażek pojechał na jarmarek, sprzedał dwie letnie jałówki, trochę przenicy, trochę ziemniaków, dołożył jakąś sumkę gotowych pieniędzy i kupił sobie tęgiego konia, gładkiego jak gałka a rączego jak ptak, że ci go się wszyscy nachwalić nie mogli.

Błażek Muszka był bardzo kontent z kupna, boć i nie drogo i dobrze nabył konia, więc też wesoło i spiewając sobie krakowiaczka powracał do domu.

A trzeba wiedzieć, że jak Błażek wsiadł na tego konia i jechał do domu, to wyglądał nie przymierzając tak dziarsko i chwacko, jak ułan polski, a wszystkie dziewuchy stawały i mówiły:

— A to mi chłopak jak ulany!...

Jadąc sobie tak do domu nadjechał Błażek do zalipieckiej karczmy. A że mu potrzeba było widzieć się z niektórymi gospodarzami, co także wracali z jarmarku a spoczywali z chudobą w karczmie, więc zatrzymał się także koło niej.

Zaś w zalipieckiej karczmie był arendarzem jeden żydek, co się żwał *Icek*, a ludzie dali mu imię *Bimbum*, bo jak się żydzina czego zafrasował albo też uradował, to głaskał pejsy i mówił zawsze:

— *Bim! bum! bim! bam!*

Ten Bimbum był to straszny szachraj żydzisko! Już to są i Żydzi często uczciwi, boć to przecie także ludzie i na podobieństwo Boskie stworzeni, ale jeżeliby wszyscy het byli takimi chciwymi i łakomymi na cudze dobro jak Icek, tobyć okrutnie źle było dla nich. Icek Bimbum, jak tylko ujrzał

gdzie pieniądze, to aż się trząsł cały, takby ci je chciał zagarnąć do kieszeni, a jak u kogo widział co dobrego i użytecznego, to tak długo dybał i dybał, tak długo szachrował i szachrował, że wreście i musiał wyszachrować.

To też dla tego i nasz Błażek Muszka krzywo się patrzał na arendarza z zalipieckiej karczmy. Bo Błażek miał serce, gdyby złote i strasznie mu było markotno, jak widział oszukaństwo i cudzą krzywdę.

Nieraz to i nie dwa mówił do siebie Błażek, jak się dowiedział, że Icek Bimbum kogoś oszachrował:

— Poczekajno ty szachraju, dostaniesz się ty kiedyś w moje ręce!...

I akuratnie tak się stało, jak Błażek chciał. Posłuchajcie jeno dalej.

Jak Błażek zajechał przed karczmę, więc wybiegli gospodarze aby oglądać tego ładnego konia, co go Błażek kupił na jarmarku. Zobaczył to Icek Bimbum i wybiegł sobie także, kłapiąc patynkami, aby zobaczyć, czego ludzie powychodzili.

Jak Icek wyszedł na próg karczmy i popatrzył na Błażka co siedział na kupionym koniu, takci mu się aż oczy poczerwieniły od wielkiej chciwości. I takci mu się podobał koń Błażka Muszki, że aż zrazu mówić nie mógł, tylko przewracał oczyma, głaskał rude pejsy i cmokał językiem:

— *Aj waj! bim! bum!... bim! bum!...*

A Błażek tylko z boku spoglądał na Icka i uśmiechał się pod nosem. Zaś Icek przybiegł do Błażka i począł konia klepać i głaskać i spozierać na niego tak łakomie, jakby go żywcem chciał pożreć.

— *Bim, bum!... Aj waj!* ja was nie *mugl* poznawać Błażku! *Kikste!* jak *wun* sobie *przyjechiwał* jak jaki starosta! Ja *rychtyk myszlał*, że to *jakiego ulan* albo co!...

A Błażek nic na to nie odpowiada, jeno rozmawia dalej z gospodarzami.

Zaś Icek znowu głaska konia, szarpie pejsy i cmoka językiem i mówi do Błażka.

— *Bim, bum!* zkąd wy jedziecie? Czy z jarmarku?... Gdzie wy *tegie koń* wyhandlowali? Hum?... *Bim bum!...*

A Błażek na to:

— A wam co do tego?

— *Aj waj!* — odpowiedział Icek — jakto co do tego, mnie wszystko do tego! *Bim bum! Hersti?* zkąd ty się taki wielki *purec narobił?...*

I szwargotał znowu dalej:

— Słuchaj Błażek! powiadaj coś dał za *ten kuń*, ja będę może jaki *hendel robić!*

— Ej daj mi pokój — odfuknął Błażek — ja konia kupił dla siebie, ale nie na szachrajkę.

— *Wuse dus* szachrajka?... *Bim bum!* Co to jest? ja *żitelnego* żyd, ja nie będę *szachrewywać*, ja *będę kupił! Bim bum!*

— Idź precz Icku, mówiłem ci już raz! — zawołał Błażek.

— Nu, czego ty masz *wyksikować!...* Tu nie ma czego *giwałt y*robić. Ja chcę kupić za *własnego pieniądzów.*

A Janek na to:

— Ale ja nie chcę sprzedać i basta!

— *Hersti! Bim bum!* — mówił Icek i ciągle łypał oczami i targał pejsy, bo się mu koń podobał, co aż strach. — Czemu by ty nie *psidawal,* ty będziesz *psidawal!* Słuchaj Błażek, nie bądź *meszigene!* Kiedy nie chcesz *psidawać tego koń*, to się zamieniaj za moją łysą kobyłę! *Aj waj!* co to za kobyła! To *pikies* nie kobyła! Jaka *wona zdrów,* a jak *ono pobiegiwa,* jak *go* batogiem tylko *będziesz* trochę *polaskotać!* To *rarytnego* zwierz, ta moja łysa kobyła! *Bim bum! Aj waj!* To *tysząćz raz* więcej wart, jak *twego koń! Twego koń* to słabe, a nogi ma jak *patyczków,* to *ono* nie będzie nic *chciało porabiać, won* by *jadł* tylko *wowsów* i *wowsów*, a jak tylko raz będzie *biegać,* to *będzie zdechł!...*

Błażek jeno się zaśmiał na to szwargotanie Icka, bo wiedział, że ta klacz, co mu ją chciał żyd zamieniać na konia, była ślepa na jedno oko i kulawa na nogę, a taka sucha, żebyć i każdą kosteczkę można było porachować.

Zaś Icek paplał dalej:

— *Nu* co zgoda! Bim, bum!... *Moje kobylka* to mi *wogierek!* Wono dla ciebie *akirat* dobre... Wono ciągnie za dwadzieścia a je tylko za jednę ćwierć *każdego innego koń!...*

— Ale ta twoja klacz ślepa! — powiedział Błażek.

— *Aj waj*! Bim bum! Szkoda żeś *taki mądry glów*, a taki *glupi*. To właśnie *pikies fajn dobrego*! *Wuna* ślepa, to ty jej możesz dać sieczki, a *wona* będzie *pomyśliwać*, że to *najczystszego owies*.

Błażek zaśmiał się z całego gardła i gospodarze też, co przytem byli śmiali się okrutnie — ale Icek jak swoje, tak swoje.

— Ale Icku taże twoja klacz kulawa! — mówił Błażek.

— *Nu*, co to jest kulawa? *Bim bum*! To właśnie dobrze. Że *wona troszki pokuliwa*, to się za to nie będzie bardzo *zbiegal*, nie będzie się *podpalił* i zdychawiczniał... I *ploszył* się także nie będzie! *Bim bum bum*! Nu zgoda Błażku! Ja nie chcę żebyś mi wiele dodał, ja tak po starej znajomości, *będę brał* od ciebie *w dodatków* tylko *pięć szajnych*!...

— Czy ty oszalał Icku, czy co? — zawołał Błażek — daj mi pokój czysty, niech sobie jadę dalej!

Ale Icek chwycił za uzdę i nie puścił Błażka tylko krzyczał dalej jak opętany:

— Nu! niech stracę. Niech będzie *glów* za *glów*, *kuń* za *kobyłki*. Ja już ci spuszczam dodatków.

Błażkowi przyszedł figiel do głowy i mruknął sobie pod nosem:

— Poczekajno szachraju, już ja ci spłatam sztuczkę!...

I zawołał na żyda:

— No wiesz co Icku! Ja wiem, że ty żyd poczciwy! Ja ci sprzedam konia!

Icek aż podskoczył do góry i pogłaskał się po brodzie.

— Nu! *Bim bum*! A wiele chcesz za niego?

— Bardzo mało! — odpowiedział Błażek.

— Nu! to co innego! Ja zawsze *muwil*, że ty *pikies* chłop, ja wiedział, że ty sobie tylko tak *żartów robiwal*. Nu, a ile chcesz za konia?

— Jak sobie dasz palnąć dwadzieścia pięć kijów — odpowiedział Błażek — to twój koń na wieki!

— Aj waj! *Bim bum*! *ny* po co żarty, albo ja *bachór*, żebym *mal żartowywać*.

— Ja też nie żartuję na pewno — odpowiedział Błażek — tylko mówię sprawiedliwą prawdę. Dam ci dwadzieścia pięć kijów i konia!

— *Hersti* jaki wun mądry, wun sobie *pokiepkuwuje* z rzetelnego żyda.

A Błażek na to:

— Aleć mówię ci Icku, że nie żartuję jakem katolik. Zaświadczam to przy wszystkich gospodarzach, co tu są koło nas.

Icek wreście uwierzył, ale mu strasznie markotno było o swoje ciało. Targał swoje rude pejsy i brodę, zawracał oczyma i bełkotał:

— *Bim bum! Bim bum!*

— No jakże? przystajesz czy nie? — zapytał Błażek.

— *Ny aj waj,* jak ja mam przystawać, *dwadzieścia pięć kij* to nie żart, to nie *szmis.*

— Ha jak chcesz! zawołał Błażek i zaciął konia, jakby chciał odjeżdżać.

— Nu poczekaj, poczekaj, nie bądź *takiego* gorączka! — wołał żyd i to macał się po skórze, to głaskał pięknego konia.

Żydzisko bał się okrutnie o swój grzbiet, ale się strasznie zapalił do konia i myślał sobie:

— Nu dwadzieścia pięć kijów to nie żart — ale to minie, a koń będzie mój na zawsze!

Zaś po chwili powiedział:

— Słuchaj Błażku, a możeby ty trochę popuścił, ot tak piętnaście *kij* będzie akurat dobrze.

— Ani jednego nie spuszczę! — odpowiedział Błażek.

— Nu dwadzieścia *kij!*

— Nie! jak powiedziałem tak zostanie! Chcesz Icku albo nie, bo jadę do domu?

— Nu, co mam robić — odpowiedział Icek — i poskrobał się po skórze, ja *biednego żyd,* niech tak będzie. Ty będziesz dwadzieścia pięć *raz przyłożyć* kij do *mego grzbiet.* Ale słuchaj Błażku, ja muszę mieć wpierwej kontrakt na pismie!

— A dobrze — odpowiedział Błażek — zlazł z konia i poszedł z Ickiem i gospodarzami do karczmy.

Żyd posłał zaraz po wójta i pisarza, aby przyszli rychło spisać kontrakt między nim a Błażkiem.

Skoro wójt i pisarz przyszli do karczmy, Icek zawołał na Błażka:

— Nu Błażek rób ty teraz *kontraktów, cessjów i deklaracjów*, że jak mi dasz 25 *kij*, to koń będzie mój.

Błażek zasadził czapkę na bakier i począł pisarzowi pod pióro mówić:

Kontrakt sprzedaży.

Ja niżej podpisany odstępuję swego karego konia arendarzowi z Zalipiec Ickowi Bimbum na zawsze, skoro tylko dostanie odemnie Icek Bimbum 25 kijów.

Swiadkowie: Błażej Muszka.

Jacenty Rzepka, wójt.

Pafnucy Skrobigąska, pisarz gromadzki.

Na tem pisaniu przybił wójt pieczęć gromadzką. Jak Icek zobaczył swój dokument, jak się patrzy, wziął go do siebie i rzecze do Błażka:

— No panie Błażeju, bierzcie *kija*, ja już gotow...

Błażek kazał przynieść ławę. Icek skrobał się po skórze okrutnie i ciągle mruczał: *Bim bum*, ale jak się popatrzył na pięknego konia, który do niego będzie należał, skoro tylko weźmie 25 w skórę, położył się na ławkę.

— Mój Błażeju! — krzyczał z lamentem Icek z ławki — tylko miejcie *Boga* w sercu i nie *bądźcie przykładać* bardzo mocno *kij* do mego tyłu, bo ja *żitelny* żyd i mam *dziewięciorgi bachury!...*

Zaś Błażek plunął w garść, chwycił za tęgi kij, co to był z świeżej i giętkiej leszczyny i nuż nim okładać Icka. Gospodarze rachowali:

— Raz... dwa... trzy... pięć!...

A Icek wrzeszczał.

— *Aj waj! Bim bum! Aj waj! bim bum! piwoli, piwoli* bo strasznie *okrutecznie poboliwa!*

Ale Błażek nie zważał na krzyki Icka, tylko młócił co się zowie. Nareszcie dał mu dwadzieścia cztery kijów.

— Ile dostał? — zapytał Błażek gospodarzów.

— *Dwadzieścia cztery!* — odpowiedzieli.

— No to dosyć — powiedział Błażek.

Icek porwał się z ławy i począł się okrutnie czuchrać i kłapać zębami. A potem mówił:

— Niech ci tego Bóg *będzie zapominać* Błażku! bo ty *kij* nie żałował. Nu ale teraz dawaj konia!

— Jakto konia? — zapytał Błażek i śmiał się.

— Nu przecież koń mój! — zawołał Icek.

— A Bogać tam twój Icku! — odpowiedział Błażek.

— Ny, jakto? ty *szwarcjur,* ty *szachraj,* ja ma *kontraktów, cessjów, deklaracjów!...*

— Ja wiem, że masz — rzecze na to — ale to swoją drogą. Panie wójcie i pisarzu, jak tam stoi w kontrakcie?

— Stoi tak, że skoro Icek dostanie 25 kijów, to koń będzie jego — odpowiedzieli na to wójt i pisarz.

— No dobrze, a ja mu wiele dał kijów? — zapytał dalej Błażek.

— A dwadzieścia cztery! odpowiedzieli wójt i gospodarze.

A Błażek na to:

— Dwadzieścia cztery to nie dwadzieścia pięć! Jak Icek dostanie akurat 25 kijów, to mój koń będzie jego.

— *Wusedus? Bim bum! Hersti paskidnyk!* Nu to dawaj dwudziesty piąty kij.

— A poczekaj trochę! Ja teraz jadę do domu! — odpowiedział Błażek i wyszedłszy z karczmy siadł na konia.

Wójt i gospodarze poczęli się śmiać okrutnie z tego figla, jakiego Błażek wypłatał Ickowi i mówili:

— Dobrze ci tak! Łakomy i chciwy zawsze bywa ukarany!

A Icek wyleciał jak szalony za Błażkiem i wołał:

— Ty *ganew,* ty *rabuśnik! Bim bum!* Daj konia!...

A Błażek na to:

— A kiedy ja ci według kontraktu obiecał dać konia?...

— No! jak dostanę 25 *kij!* — odpowiedział żyd.

— A ileś dostał?

— Dwadzieścia cztery — odrzekł żydek.

— No to musisz czekać jeszcze na jeden kij — rzecze na to Błażek, aby było spełna 25, a wtenczas dam ci konia!

A Icek wołał:

— *Aj waj!* co to jest, nu to daj jeszcze jeden kij!

— Ho ho! nie zaraz, aż mi się podoba! — odpowiedział Błażek, zaciął konia i pojechał sobie precz.

Icek krzyczał, wrzeszczał, skakał i lamentował, targał brodę i rwał pejsy, ale taki stało się tak jak Błażek powiedział.

Icek chciał lecieć do becyrku, bo aż się wściekał, co go tak Błażek odrwił — ale cóż, kiedy cała rzecz działa się przy świadkach i na piśmie, a Błażek miał słuszność, jak się patrzy!

Takci to ucieszny frant Błażek Muszka ukarał chciwego szachraja, Icka Bimbum, który póki życia nie mógł zapomnieć tego figla i tych 24 kijów, co mu wlepił Błażek filut.

A cała gromada i wszystkie wsie na kilka mil w około opowiadały sobie długo ten figiel Błażka i każdy się z Icka ukaranego śmiał do rozpuku — a i teraz jeszcze każde małe dziecko z Zalipiec opowie ci, jak zechcesz, historję o mądrym Błażku a chciwym arendarzu z zalipieckiej karczmy.

Wojtek ze Smolnicy.

Opis poświęcenia kościoła w Żabińcach.

Mikołaj Roga ze Żabiniec, którego pisanie było drukowane w siódmym tomie Dzwonka, przysłał opisanie poświęcenia kościoła w Żabińcach, które się odbyło w roku przeszłym. Dla nauki i dobrego przykładu drukujemy tutaj całe owo opisanie, które jest takie:

We wsi Żabińcach w obwodzie czortkowskim odbyło się poświęcenie kościoła przez przewielebnego xiędza kanonika z Budzanowa a za pozwoleniem najprzewielebniejszego arcybiskupa lwowskiego, kościoła Narodzenia Najświętszej Maryi Panny, fundowanego roku 1860 przez wielmożnych dziedziców, którzy są bardzo zacni i bogobojni państwo. Chociaż są niebardzo bogaci,

podjęli dla Pana Boga tak wielkie wydatki, za które im Bóg wszechmogący w niebie wieczną szczęśliwością odpłaci. Nikt nie pamięta, ażeby w tej wsi był kiedy kościół albo cerkiew; to też ludzie bardzo się cieszą, że mają we własnej wsi kościół, bo pierwej trzeba było iść aż na trzecią wieś. Włościanie tej wsi bez różnicy Łacinnicy i Rusini dopomagali pracą rąk swoich, i także choć małym datkiem przyczynili się do budowania. Więc za pomocą Bożą w niespełna trzy lat po założeniu węgielnego kamienia został kościół ukończony. Stoi on za wsią na pagórku, wielkim ołtarzem na wschód, a po prawej i lewej stronie są umieszczone dwa małe czyli poboczne ołtarze, które nie są jeszcze ukończone. Od strony zachodniej po obu bokach wielkich drzwi są umieszczeni we framugach dwaj patronowie Polski, święty Stanisław i święty Wojciech, pięknie z ciosu białego wyrzezani, jakoteż w całym kościele są piękne figury z ciosu wyrobione. Na kościele jest wieża z trzema dzwonami, które tego roku dnia 7 września w wilię poświęcenia kościoła przewielebny xiądz kanonik przy assystencyi xiędza Białkowskiego, proboszcza z Kopeczyniec, poświęcił. Są dwa dzwony wielkie na wieży i jeden mały do sygnowania; zaś największy z dzwonów był już dawniej poświęcony. Wszystką też garderobę poświęcił xiądz kanonik w wilię; są tam różne prześliczne ornaty, alby, komeżki dla xięży i różne przybory.

Nazajutrz rano, to jest dnia ósmego września, wyszedł xiądz Tomaszewski obrządku łacińskiego z cichą mszą świętą, a przewielebny xiądz kanonik w kapie bardzo kosztownej, sprawionej przez wielmożnych państwa fundatorów, poświęcił wszystkie trzy ołtarze i cały kościół. Ludzi było bardzo wiele, a jeszcze więcej było kiedy przyszły processye z Hadyńkowic, Kopeczyniec i Husiatyna. Otóż zaraz po pierwszej mszy świętej i poświęceniu kościoła wyszła żabiniecka processya, i na końcu wsi złączyła się z nią processya z Hadyńkowic z kościoła obrządku greckiego, i razem już szli na spotkanie kopeczynieckiej i husiatyńskiej, które się pod wsią Kociubińce także złączyły, i tuż na granicy między Kociubińcami a Żabińcami zeszły się wszystkie cztery processye i ładnie się jedna drugiej chorągwiami pokłoniły, i wszystkie razem powtórzyły chórem

ową znaną nam pieśń do Matki Boskiej: „Matko Potężna.“ I tak wszystkie cztery processye śpiewając różne nabożne pieśni doszły blisko kościoła, w którym uderzyli wraz we wszystkie dzwony. Zaraz zaczęła się w obrządku greckim msza święta soborna, odprawiona przez xiędza ruskiego z Czarnokoniec, podczas której wielu panów w ubraniu staropolskiem przy karabelach stało ze świecami na około ołtarza. Po mszy świętej sobornej xiądz Kamiński z zakonu ojców Jezuitów misyonarz z Tarnopola, bardzo wymowny kaznodzieja, wyszedł przed kościół na przygotowaną tam ambonę; w kościele albowiem nie można było około sześć tysięcy ludu pomieścić, dla tego było kazanie przed kościołem. Wszystkich ludzi tak bardzo ono rozrzewniło, że aż wszyscy płakali. Żeby był kto i najtwardszego serca, toby się był rozpłakał. Mówił bowiem xiądz misyonarz o Moskwie, która teraz niezmiernie nad tem pracuje, żeby nam naszą wiarę świętą odebrać, ten skarb najdroższy, nad czem pierwej pracowali Tatarzy i Turcy, paląc i plądrując tę naszą najukochańszą ziemię, zabierając lud i bogactwa nasze w niewolę, lecz wiary nam naszej nie zdołali odebrać. A teraz także są nieszczęśliwe czasy, lecz starajmy się, żeby nam wiary świętej Moskale nie odebrali, choć wyganiają braci naszych na Sybir za wiarę, choć przymuszają do szyzmy; wycierpmy wszelakie katusze i utrapienia a wiary naszej nie porzućmy, bo wiara nasza jest święta, bo bez wiary katolickiej nikt zbawionym być nie może. I długo bardzo trwało to piękne kazanie, a po kazaniu zaczęła się wielka suma, odprawiona przez przewielebnego xiędza kanonika, który był ubrany w prześliczny ornat, sprawiony przez fornala dworskiego Michała za 64 reńskich. Assystowało do sumy trzech xięży obrządku łacińskiego i czterech chłopców, poubieranych w bardzo piękne komeżki. Wszystkich xięży było dwunastu, to jest ośm obrządku łacińskiego a czterech obrządku grecko unickiego.

Dnia 12 października, to jest na piątą niedzielę po poświęceniu, przyjechał nasz przewielebny xiądz proboszcz, były wikaryusz w Gródku pode Lwowem. Bardzo był dla całej parafii dzień ten radośny. Przyjechał on jeszcze zrana przed mszą świętą, więc zebrało się kilkunastu gospodarzy bez różnicy,

Łacinników i Rusinów, bo Chrystus Pan nas uczył, żebyśmy się kochali jak bracia, bo jesteśmy wszyscy sobie bliźnimi, gdyż chociaż obrządek jest trochę jeden od drugiego różny, to wiara nasza jedna katolicka nieodmienna, bo my zostajemy pod najwyższą głową kościoła Chrystusowego, pod następcą świętego Piotra, Ojcem świętym, papieżem rzymskim. Jak powiedziałem zebrało się kilku gospodarzy, a jeden z nich powitał przyszłego proboszcza chlebem i solą, i powinszował pięknie życząc dobrego powodzenia. Jeszcze tego samego dnia miał przewielebny xiądz proboszcz mszę świętą, kazanie zaś miał xiądz Dominikan z Czortkowa. Przez zimę ma mieszkać xiądz proboszcz w tymczasowo urządzonej rezydencyi blisko kościoła, a na wiosnę jak da Bóg doczekać to jeszcze państwo dziedzice chętnie przy pomocy bożej zbudują nowe pomieszkanie, a także i parafianie z chęcią pracować będą około niego, ponieważ fundamenta są już gotowe. Do kościoła tego należą oprócz Żabiniec, Hadyńkowce, Szwajkowce, Probużna i Kociubińce.

Mikołaj Roga włościanin ze Żabiniec.

RÓŻNOŚCI.

Ofiary piękne. Przysłali nam niektórzy panowie i gospodarze pieniądze na naprawę pomnika króla Kazimierza Wielkiego w Krakowie, a zaś ci przysłali: Pan Jan Zaremba 50 centów, gospodarze: Józef Chmura z Chudaczowa 25 centów, Kazimierz Wróbel z Grodziska 25 centów, Antoni Lorenc z Białobrzeg 25 centów, i pan Świątoniowski z Białobrzeg także 25 centów, zaś Stanisław Doktór z Mędrzychowa przysłał 4 reńskie i 40 centów, które tamtejsi gospodarze złożyli, a Jan i Wojciech Solokowie włościanie z Wytrzyszczyki 30 centów więc razem 6 reńskich i 20 centów. Zaś pan Michał Szydłowski z Nadwornej przysłał 1 reński na sprawienie palmy w kaplicy przy trumnie świętego Stanisława w Krakowie. Wszystkie te pieniądze odesłaliśmy do Krakowa, a tu na dobry przykład wydrukowaliśmy nazwiska tych, którzy tę ofiarę uczynili.

Samobójstwo pijaka. Nie trza wam pono mówić, na jaką to biedę i nieszczęście sprowadza gorzałka, boć to o tem już nieraz i niedwa pisał zeszłoroku „Dzwonek.“ Toć każdy z was wie dobrze, że jeszcze żaden pijak

w świecie nie był dobrym gospodarzem i katolikiem, jak się patrzy, ale zginął marnie w nędzy. Zaś posłuchajcie jaki się wypadek zdarzył we wsi *Siechowie*, co to leży we lwowskim cyrkule. Byłci tam jeden kmieć Wojciech D., co to lubiał się upijać i gorzałkę łykał jak wodę. Jak tylko kiedy dostał jaki grosz, zaraz ci z nim biegł do karczmy i dał żydowi za wódkę. Otóż ta gorzałka najprzód zniszczyła jego mienie i dobytek, potem i zdrowie, a nareście mu rozum i mienie odebrała. Aż jednego dnia, a było to 20 lutego tego roku, znaleźli ludzie tego Wojciecha D., powieszonego w stodole. Widać, że musiał się był upić okrutnie i straciwszy rozum i zmysły do reszty powiesił się sam w stodole. Chcielić go wprawdzie ludzie ratować, ale leki już nic nie pomogły. Tak to nędznie i niepochrześcijańsku giną pijaki.

Pożary. Już to ten ogień to istne pokaranie Boże! Ciągle tu piszą do Lwowa o wsiach i chatach co się spaliły. A najczęściej winni sami kmiecie, że nieostrożni i nie warują się przed ogniem. I tak 15 lutego powstał pożar w *Drohowyżu*, w obwodzie stryjskim, i zgorzały czterom włościanom tamtejszym chaty i wszystkie budynki gospodarskie wraz ze zbożem. W *Mszanie* pogorzał **11** lutego przez nieostrożność tamtejszy włościanin Ilko S. a ogień zniszczył wszystkie budynki, zboże, siano i co tylko jeno miał. Zaś w *Humańczycach* w obwodzie Sanockim zniszczył ogień tamtejszemu gospodarzowi Antoniemu Z. cały dobytek do szczętu, a szkoda cała wynosi 916 reńskich srebrnych. Ludzie mówią, że jakiś zły człowiek ten ogień podłożył.

Zdania moralne.

Zwycięztwo nad sobą samym i braterska miłość są Bogu najprzyjemniejszą i najmilszą ofiarą.

Próżność plami nawet najlepsze uczynki, ponieważ odbiera im wartość.

Prawdziwa pokora jest najlepszą zasłoną przeciw pokusom.

Jeżeli widzisz błądzącego, wspomnij sobie na własne grzechy.

Nie sądź nikogo z pozoru bo się omylisz.

Wszędzie i zawsze miej cierpliwość i panuj nad gniewem.

Dobre i czyste sumienie jest największem bogactwem na ziemi.

Łatwo się ten zbogaci, który się obchodzi skromnie.

Cnotliwy sąsiad jest najszacowniejszym skarbem, a zły tak jak powietrze nieznośny.

Wydawca odpowiedzialny: E. Winiarz.